

BRON' OBOSIECZNA

O S O B Y:

JAN SZRENIAWA — KONSTANTY, jego syn.

(Konstanty, rozłożony w fotelu, czyta gazety, paląc papierosa—
wchodzi Szreniawa).

SZRENIAWA: Witam mego pana syna.

KONSTANTY (zrywając się): Ojciec! Kochany ojciec!
Zkądże? Kiedy? (powitanie).

SZRENIAWA: Prosto z wagonu.—Jakże się miewasz?..
Przyjechałem do Warszawy z ratą Towarzystwa.

KONSTANTY (pomagając ojcu zdjąć palto): Z ratą?..
Przecież już opłacona.—Sam odnosiłem przysłane przez ojca
pieniądze.

SZRENIAWA (jąkając się): To też... to też... he... he...

KONSTANTY: Zgaduję!.. Wrodzona ojcu uprzejmość
sąsiedzka. Proszę tutaj, tutaj, na tym fotelu — będzie wy-
godniej.

SZRENIAWA (siadając): Cóż chcesz, ta biedna pani
Olchowska...

KONSTANTY: A! więc to za nią!

SZRENIAWA: Po śmierci męża, zostało kobiecisko jak
palec, w długach po uszy. Rady sobie biedaczka dać nie
może.

KONSTANTY: Ha, trudno. Cóż nas to obchodzi?

SZRENIAWA: Jakto, a cóż nas u trzystu obchodzić będzie, jeśli nie niedola bliźnich!.. (ze smutkiem) Oj Kostku! Kostku!

KONSTANTY: No, dajmy na to—ale przynajmniej bez tych wszystkich ślamazarnych zapomóg, jałmużn, datków, które tylko demoralizują obdarowanych, skłaniając ich zamiast do pracy, do oglądania się na ludzką pomoc. — Ale!.. może ojciec głodny z drogi? Może po co posłać?

SZRENIAWA: Nie trzeba.—Jadłem na stacji.—Gadasz, jak gdybyś nie wiedział, że nieraz mimo najszczerzych chęci pracować nie można—np. w chorobie, w starości, nieudolności.

KONSTANTY: Ha, na to już niema rady. Co słabsze ginąć musi. Takie prawo natury. Dura lex, sed lex. (częstuje ojca papierosem) Założę się, że ojciec ratę Towarzystwa za panią Olchowską wnosi z własnej kieszeni?

SZRENIAWA: No, a gdyby i tak? to cóż? nie wolno mi, czy co? (zapala papierosa).

KONSTANTY: Otóż to właśnie! Onaż przecie nie odda, bo zkąd? z czego? Co posiada prócz marnej folwarczyny i gromady bębnów!

SZRENIAWA: Gromady bębnów?! Bzika dostałeś? Jedno dziecko, jedyne! Śliczną dziesięcioletnią Julisę, żywy portret matki.

KONSTANTY: O, ja pamiętam zdawna, że ona ojcu w guście.

SZRENIAWA: Ah, jaż przecie nie dla tego... uchowaj Boże.

KONSTANTY: Nie posądzam, nie — boć wiadomo, że

i staremu Bolskiemu, ojciec zeszłego lata wygodził poważniejszym quantum, również na wieczne nie oddanie.

SZRENIAWA: Jakże? toż całe siano zgniło mu na łąkach! Bezprzestanny deszcz, klęska.

KONSTANTY: Panu Erazmowi, idem.—Temu podobno coś się tam znowu przypaliło...

SZRENIAWA: Stodoła zgorzała mu od pioruna, z kreścencją! słowo uczciwości!.. Wyobraź sobie nie asekurowana! słowo uczciwości!

KONSTANTY: Na przednówku, spichlerz dla chłopstwa otwarty... Ej ojcie, ojcie, strzeż się, abys sam kiedyś...

SZRENIAWA: Eh, co mnie tam już potrzeba staremu!

KONSTANTY: Ba, tak się to mówi!.. Najpierw, ojciec wcale jeszcze nie stary.—A powtóre, są dzieci.

SZRENIAWA: Dzieci! dzieci!.. Córka, chwalić Najwyższego, już za mężem—ty, posadę masz wcale przyzwoitą.—Część po nieboszcze matce—świeć Panie nad jej duszą—wypląciłem wam, co do grosza. — Czegoż żądać możecie więcej? he?

KONSTANTY: Od przybytku głowa nie zaboli.—Tymczasem ojciec przez swoje miękkie usposobienie, hojną rękę...

SZRENIAWA: Miło jest człowiekowi mieć przyjaciół, być kochanym...

KONSTANTY: Eh, tem nawet i w piecu nie napali — słowo honoru.

SZRENIAWA: Wdzięczność ludzka także coś waży.

KONSTANTY (ze śmiechem): Ha, ha, ha! Na wdzięczność ludzką ojciec liczy?.. ha, ha, ha! To już chyba szczyt

naiwności! słowo honoru. Wdzięczność! wdzięczność! ha, ha, ha! (śmieje się). Posłuchaj ojciec, w jak „miły“ sposób, aplikują ją niekiedy nasi współbracia.—Mój przyjaciel Jurek Jurkowski—od którego ja, mówiąc nawiasem, wiele korzystam z życiowej mądrości.

SZRENIWA: A widzę to, widzę—śliczny ananas!

KONSTANTY (dalej): Opowiada, że, bawiąc w Rzymie, lubił zatrzymywać się przed żelazną klatką, znajdującą się u wejścia do Kapitolu.—Wiadomo powszechnie, że jakaś czułego serca wilczyca wykarmiła ongi mlekiem własnem chłopiąt dwoje, przyszłych założycieli Romy. Od tej pory Wieczny Gród, w dowód niewygasłej swej wdzięczności, trzyma stale—w owej klatce—wilczycę jedną. W najpyszniejszym kłębie z magnolji, laurów i kamelji, gryzie kratę swego więzienia, zwierz, rozpaczą oszalała—a tłum gapiów ze śmiechem przygląda się nieszczęsnej ofierze „wdzięczności ludzkiej“! — Cóż ojciec kochany na to?.. Jak mu się podoba taka forma uznania? taka forma wdzięczności?!

SZRENIWA: Ha cóż! szpetne to okrutnie i niemądre! Co do mnie jednak, nie obawiam się losu podobnego. Nie świadczę znowu tak wielkich dobrodziejstw nikomu. A, że tam czasem sąsiada jakiego poratuję w złej przygodzie, ubożego wspomogę, nad sierotą się uzale, toć to wszystko drobnostka, rzeczy zwykłe, niegodne żelaznej klatki na Kapitolu! dalibóg!

KONSTANTY: Z tego wszakże przestroga, jak na dłoni, że najbezpieczniej wszelką troskę i frasunek o drugich, pozostawić Opatrzności. — Każdy dla siebie, Pan Bóg dla wszystkich.

SZRENIWA: Czyli po prostu: „Prima charitas ab ego“. Reszta furda, czy tak?

KONSTANTY: Każdy rozsądny człowiek, mający odwagę mówienia głośno tego, co myśli po cichu—przyzna mi słusność.

SZRENIWA: A sumienie?

KONSTANTY: Sumienie również, boć przecie nie może winić jednostki za to, że dba o siebie i swoje dobro. Niech każdy czyni podobnie a nie będzie na świecie ani nędy ani występku.

SZRENIWA: Brawo! brawo! Sam Aaron, rodzony brat Mojżesza, największy mówca w Izraelu, nie powiedziałby lepiej.

KONSTANTY: Altruizm, to po prostu: „niedorzeczność“.—Uboży ofiarodawcę, nie wzbogacając obdarowanego.

SZRENIWA: Jeśli uważasz, że samolubstwo korzystniejsze wydaje rezultaty, toś jest ślepiec, nie widzący dalej, nad koniec swojego nosa!

KONSTANTY: Ciekawym, czyby np. ojciec, popadłszy—co nie daj Boże—w jaką katastrofę finansową, znalazł kogo, ktoby ojca wspomógł, ratował?..

SZRENIWA: A spodziewam się, żebym znalazł! Przedewszystkiem was, dzieci moje rodzone, dla których ja—klnę się na zbawienie—odmawiałem sobie i do dziś dnia—uważaj!

KONSTANTY: My jednak nie mamy za dużo, nie mamy za wiele.

SZRENIWA: Taak? Nie macie za dużo? Patrzajże, panie dobry... Nie macie! nie mielibyście dla ojca! Hm, hm.—Takiś to ty!.. hm, hm—takiś to ty!.. hm.

KONSTANTY: Ojciec wogóle, nie dość pamięta o sobie samym.

SZRENIAWA: Poczytujesz mi to za wadę?

KONSTANTY: I wielką.

SZRENIAWA: Wielką nawet!.. Patrzajże!.. hm, hm—
(z ironją). Na poprawę wszakże w moich latach, czy nie za
późno już? he? jak sądzisz? co?

KONSTANTY: Na dobre nigdy nie zapóźno.

SZRENIAWA: Nigdy?.. Ha! to pysznie! to wyśmienicie!
synku luby! W to mi graj!.. A ja stary głupiec, męczyłem się
do tej pory... borykałem ze sobą... z własnym sercem... by-
le... byle tylko wam było dobrze.—No, ale teraz... teraz istot-
nie gotówem... dalibóg... jak mi Bóg miły... gotówem (zna-
cząco) się poprawić!

KONSTANTY: Aha! widzi ojciec! przekonałem ojca na-
reszcie.

SZRENIAWA (ze smutkiem): Oj przekonałeś, przeko-
nałeś... i jak jeszcze przekonałeś, ani się spodziewasz!

KONSTANTY: O! cóż to znaczy?

SZRENIAWA: Dowiesz się, panie dobry, zaraz, natych-
miast. Posłuchaj tylko... a uważnie. Otóż trzeba ci wie-
dzieć, że ja... ja... od dość dawnego czasu nosiłem się z pro-
jektem, który... który... no, słowem, który gdyby się ziścił, pa-
nie dobry, uszczęśliwiłby mnie nad wszystko na świecie.

KONSTANTY: Oh! oh! i cóż to za projekt taki? cie-
kawym?..

SZRENIAWA: I tylko skrupuł sumienia, obawa ukrzy-
wdzenia was, dzieci moich pierwородnych, wstrzymywały
mnie od... od stanowczego kroku.—No, rozumiesz już?.. Su-
mienie, obawa... Zrozumiałeś?..

KONSTANTY: Nic a nic—daję słowo.

SZRENIAWA: O dla Boga! jakież ty tępy! Uważajcie.
Pismo powiada: „Nie dobrze jest być człowiekowi samemu“.—
A w Brzozowicy domisko ogromne, chleba, dzięki Panu Je-
zusowi, w bród i pani Olchowska, kobieta panie dobry jak
łania! bruneta! skrzętna, zawsze wesoła... No cóż, jeszcze nie-
rozumiesz? co?

KONSTANTY: Chryste Panie! Ojciec chce się żenić?!

SZRENIAWA: Otóż tu sęk właśnie! Chciałem, chcę,
z całej duszy pragnę—mimoto wahałem się do tej pory i sa-
molubnym zachciankom władzy nad sobą nie dawałem —
z uwagi, jak rzekłem, na wasze dobro — dopiero dzisiaj, ot
w tej chwili, ty...

KONSTANTY (z niepokojem): Ja?

SZRENIAWA (kończąc): Otworzyłeś mi oczy.

KONSTANTY (przerażony): Ja!

SZRENIAWA: Ty sam—swoją swadą, swoimi arcymą-
dremi argumentami, przed którymi wszystkie moje dotych-
czasowe walki, wątpliwości, skrupuły, obawy, wzgląd na was,
dzieci i t. d. i t. d.—pierzchły niby ćmy nocne przed świa-
tłem!

KONSTANTY: Ojciec sobie żartuje ze mnie.

SZRENIAWA: Uchowaj Boże! Patrz, co to za traf szczę-
śliwy, panie dobry, żeśmy się tak rozgadali od serca i wza-
jemnie poznali na sobie! Gdyby nie to, ja prawdopodobnie
pukałbym w palce czort wie dokąd i na czyn—t. j. na oże-
nek—nie zdecydował się bodaj nigdy.—Ty, w mig dowiodłeś
mi, że stary dziwak, zacofaniec, że najpierwszym obowiąz-
kiem człowieka myśleć o własnej skórze, o własnych przy-

jemnościach, zgoła wymościłeś mi, jakto powiadają, wóz— wyrównałeś ścieżki... więc ja też, panie dobrodzieju, jazda!.. jazda do ołtarza!

KONSTANTY: Stwórcu miłosierny!

SZRENIAWA: Ah czuję, że odmłodniałem, że mi mendeł lat spadł z karku!.. Uszczęśliwiłeś rodzica, chłopaku!.. Co to jest, panie dobry, mieć takiego mądrą syna! skarb! istny skarb, jak mi Bóg miły!

KONSTANTY: Niel to nie do wiary! nie do wiary!

SZRENIAWA: Ba! przekonasz się!.. Ja jeszcze, da Bóg, doczekam się potomstwa a ty małych braciszków i siostrzyczek!..

KONSTANTY: Zgroza! zgroza!

SZRENIAWA: No, teraz i twój przyjaciel Jurek, nie będzie śmiać szydzić ze mnie, żem wyszedł na swojej ofiarności, jak owa Rzymska wilczyca na swojej! ha, ha, ha.

KONSTANTY: Ależ ja nie w tym duchu bynajmniej.. Ojciec źle mnie zrozumiał.

SZRENIAWA: Owszem, kochanku, łośszem. — „Każdy dla siebie”—oto twoje hasło.

KONSTANTY: Ależ mnie ani powstało w głowie, że ojciec w ten sposób zastosuje...

SZRENIAWA: W ten czy w inny, mniejsza—byle treść była ta sama.

KONSTANTY: A niechże mnie pioruny siarczyste!

SZRENIAWA (uradowany): Biegnę do Towarzystwa Kredytowego, ztamtąd po pierścionki. — Możebyś poszedł ze mną do jubilera—dodałbyś mi gustu!

KONSTANTY (zły)! Nie mam czasu.

SZRENIAWA: To bywaj zdrow.—Spieszno mi do domu. Zaraz jutro grzmieć do wdówki z oświadczeniami. Za trzy tygodnie ślub.—Daj dziobka, syneczku, tobie to zawdzięczam—grackość mi dopomógł swemi radami — daj dziobka— a nogi szykuj na weselisko, do mazura, do mazura, adieu!

(wybiega szybko, narzuciwszy na ramiona palto).

KONSTANTY: Miljon milionów fur djabłów!.. Tom się złapał! Stary pobił mnie własną moją bronią—a ja, osioł, anim spostrzegł, że to broń obosieczna!.. Braciszki! siostrzyczki!.. O Jurku! Jurku! o wilczyco!